

# PAMIĘĆ LAWENDY





# REYES MONFORTE

PAMIĘĆ LAWENDY



Przełożyła Aleksandra Żak

Wydawnictwo WAM

Powieść *Pamięć lawendy* jest fikcją literacką. Jest ona częściowo inspirowana rzeczywistością, jednak osoby, miejsca, imiona i wydarzenia w niej przedstawione są wytworem wyobraźni i skutkiem zamysłu literackiego autorki. Jakikolwiek podobieństwo do prawdziwych wydarzeń, okoliczności czy osób, żywych bądź nieżyjących, należy uważać za zbieg okoliczności.

Originally published under the title *La memoria de la lavanda*

© Reyes Monforte, 2018

© Penguin Random House Grupo Editorial, S. A. U.  
Travessera de Gràcia, 47-49, 08021 Barcelona, 2018

Copyright for this edition © Wydawnictwo WAM, 2019

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieliąg-Pieculewicz

Redakcja: Agnieszka Zielińska

Korekta: Katarzyna Onderka

Projekt okładki: Anna Sowińska

Zdjęcie na okładce: © AnastasiaNess/Shutterstock, © Flaviya/Shutterstock

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-2149-5

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003

e-mail: [wam@wydawnictwomam.pl](mailto:wam@wydawnictwomam.pl)

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: [handel@wydawnictwomam.pl](mailto:handel@wydawnictwomam.pl)

KSIEGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260

[www.wydawnictwomam.pl](http://www.wydawnictwomam.pl)

Druk i oprawa: ABEDIK • Poznań

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book cream 70 g vol. 2.0  
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

Tobie, José – zawsze



Przyzwyczajamy się mieć za przedmiot  
naszych myśli istotę, która nie jest obecna.

Marcel Proust, *Utracona*, tłum. Magdalena Tulli

Byłaś obecna w każdym wierszu, jaki czytałem.

Charles Dickens, *Wielkie nadzieje*, tłum. Karolina Beylin

Do nieobecności nikt nie przywyknie do końca.  
Swego słońca nie ujrzysz w blasku innego słońca.

Mario Benedetti, *Mar de la memoria*\*

---

\* Tłumaczenie własne [przyp. tłum.].





# I



Czekałam na zielone światło, ale to zuchwałe czerwone nie chciało zniknąć. Zawsze zdawało mi się, że czerwone na skrzyżowaniach świeci dłużej od zielonego – tak samo mam wrażenie, że deszczowy weekend ciągnie się dłużej od słonecznego. Cholerne zło pragnące nas nie opuszczać, jakbyśmy byli mu coś winni, bo chcemy, by szło nam dobrze. Może to była kwestia punktu widzenia, a z mojej perspektywy kadr nie wyglądał najlepiej. Wbiłam wzrok w jaskrawy blask, nie mrugałam. Od dwóch miesięcy, tygodnia i czterech dni moje oczy były tak wilgotne, że mruganie na mnie nie działało, podobnie jak – zdaniem samego Freuda – psychoanaliza nie działa na Irlandczyków. Nie wiem, dlaczego pomyślałam o ojcu psychoanalizy, skoro nawet nie udawało mi się zasnąć. Żadnej suchości, szczypania, dyskomfortu. Płacz bez opanowania i ograniczeń czasowych ma swoje zalety – w przeciwieństwie do reszty śmiertelników miałam rogówkę, której niepotrzebne było mruganie piętnaście razy na sekundę. Nie dało się powiedzieć tego samego o przedniej szybie samochodu. Nacisnęłam przycisk spryskiwaczy – mając nadzieję, że zostało jeszcze trochę niebieskawego płynu, który

on wlał do zbiornika po raz ostatni – i pchnęłam przełącznik wycieraczek. Razem z lepką pianą przesunęły się martwe komary, liście i kurz. Nie to, żeby szyba zrobiła się czysta – pióra wycieraczek przeniosły tylko brud z jednej strony na drugą przy irytującym pisku gumy trącej o szkło. Poczułam, że ten obraz pasuje do mnie. Tak naprawdę to właśnie robiłam, gdy płakałam. Płacz w zasadzie niczego nie rozwiązywał, ale przynosił ulgę, a czasami potrzeba mi było tylko ulgi.

Miałam wrażenie, że czerwień robi się intensywniejsza. Nie lubiłam tych słupów ani wiszących na nich kapryśnych, niesprawiedliwych świateł – kazały mi stać, kiedy świat nie przestawał iść do przodu, przyspieszał i odmawiał szansy na reakcję. Moje życie ciągle się przed nimi zatrzymywało i nigdy nie wyszło mi to na dobre. Gdy czekaliśmy na zielone światło, usłyszeliśmy najgorsze wieści.

*„Byłbym spokojniejszy, gdybyś sobie zrobił kolejne badania... Nie, Jonas, nie za parę dni, wolę, żebyś przyszedł dzisiaj. Najlepiej podjedź teraz i niech na to spojrzą, wtedy się uspokoimy”. Wbiłam wzrok w samochodowy głośnik, jakbym w nim miała znaleźć jakieś dodatkowe wyjaśnienie. Nie spodobał mi się upór w głosie jego kolegi radiologa, a jeszcze mniej dźwięk słowa „onkologia” wśród potoku rad i wskazówek, które rozmyły się, gdy pojawiło się tych dziewięć potwornych liter. Dopiero co wybieraliśmy meble do kupionego miesiąc wcześniej mieszkania. Po drugiej stronie szyby centralne ulice Madrytu witały lato, które*

*przyszło wcześniej, w samym środku maja. Spojrzałam na niego. Po jego minie widziałam, że wołałby nie mieć włączonego zestawu głośnomówiącego, wołałby, żebym nie słyszała tej rozmowy. Pomyślał, że się zmartwię, i nie pomylił się. Kiedy jego dłonie obracały kierownicą, by zmienić kierunek jazdy i zastosować się do wskazówek doktora Marína, wiedziałam, że ten niespodziewany zwrot nie dotyczy wyłącznie drogi.*

*Gdyby tak nie odebrał tego telefonu, gdyby przejechał na żółtym i gdybyśmy wjechali do tego tunelu bez zasięgu, gdybym nie upierała się przy tych cholernych badaniach kontrolnych, gdybyśmy to nie myjechali tym samochodem. Droga do szpitala wypełniła się niewypowiedzianym gdybaniem zduszonym przez rozmowę – w ten sposób walczyliśmy z ciszą, w której lęk dałby o sobie znać.*

Czułam, że to czerwone światło nigdy nie zniknie. Dzięki temu mój umysł miał czas, by dalej roztrząsać i wyszukiwać chwile, których wołałabym nie pamiętać, wołałabym w ogóle nie przeżyć – ale niewiele mogłam zrobić z tą minioną rzeczywistością. Spojrzałam na cyfrowy zegarek w samochodzie. Minęło dziesięć minut, odkąd wyjechałam z garażu, a już zatrzymały mnie cztery czerwone światła. To jedno paliło się szczególnie długo, a przynajmniej takie miałam wrażenie. Od siedemdziesięciu dwóch dni mierzyłam czas we łzach, epizodach stanów lękowych, chwilach nostalgii, falach wspomnień. A ze względu na czas, który mijał mi przed sygnalizatorami, także w czerwonych światłach.

Poczułam nagłe uderzenie gorąca, chociaż klimatyzacja zmieniała wewnątrz samochodu w lodówkę. Zdjęłam sweter i związałam włosy. W klatce piersiowej pojawił się znajomy łomot arytmii. Nie odrywając wzroku od szkarłatnego światła, włączyłam samochodowe radio, mając nadzieję, że jego odgłosy uciszą mój umysł i uniemożliwią myślenie o jedynej rzeczy, która zaprzętała mi myśli od dwóch miesięcy, tygodnia i czterech dni. Kalendarz był szeregiem cyfr przypominającym dziwny wyrok: odwrotnie niż w przypadku kary zwykłego więźnia, tę moją z każdym mijającym dniem wyrażała coraz większa liczba. Sposób z radiem nie działał. Zastanawiałam się, czy nie pozwolić zaśpiewać Don Carlosowi Verdiego, ale to na pewno obudziłoby wspomnienia: jego ulubiona opera, ostatnia podróż do Paryża z okazji jego urodzin, tamto przeziębienie, które nie chciało minąć...

Moja dłoń szukała przycisku, by pogłośnić radio. Światło dalej było czerwone, nie pozwalało mi ruszyć. W tym impasie krążyły wokół mnie tylko dwa pytania. Co ja tu robię? Nic. Jaki to wszystko ma sens? Żadnego.

Oczekiwanie było absurdalne. Zielone światło sygnalizacji nie miało żadnej wartości, nie otwierało mi drogi donikąd, pozwalało tylko się przenieść z jednego miejsca do drugiego, tak jak wycieraczki przesunęły brud zebrany na szybie samochodu. Wiecznie czekamy, czas jest naszą obsesją. Wiedziałam, że nadchodzi jedna z tych chwil, w których pojawi się jego głos, a przeszłość zawładnie moją teraźniejszością.

– *Ile czasu mi zostało?*

*Nie byłam w stanie przetrwać tego pytania zadanego jego głosem. Tak naprawdę nie chciałam tego zrobić. To nie mogło się dziać naprawdę, takie rzeczy zawsze oglądało się z zewnątrz, a nie z samego środka sceny. Mózg błagał mnie, żebym dalej wbijała wzrok w szare tęczęwki lekarza, który właśnie przekazał nam wieści tak, jakby podawał cenę nieruchomości. To chyba serce kazało mi skierować wzrok na Jonasa. Patrzyłam na niego, wewnątrz kamieniejąc, zupełnie jak wskazówki zegara podającego godzinę tam, na zewnątrz, w tak zwanym świecie, który właśnie zatrzymał się gwałtownie i zwałił się nam na głowy. Zobaczyłam go. Chyba nawet bardziej się w nim zakochałam, o ile to było możliwe. Jego twarz była pełna siły, spokoju. Nie zachmurzyła się, nie zeszywniała i nie zrobiła się marmurowo blada, a to na pewno działo się właśnie z moją. Albo go nie zrozumiał, co było najmniej ze wszystkiego prawdopodobne, albo skądś wiedział, że tę bitwę, tak jak wiele innych w przeszłości, także wygra. Zapadłam się w siebie, gdy usłyszałam, z jaką trzeźwością zadał to pytanie, z jaką naturalnością sam podał termin.*

– *Miesiąc, pół roku? Rok? Dotrąm do Bożego Narodzenia?*

*Nawet tonem głosu nie zdradzał niepokoju. Chwycił mnie za rękę i ścisnął, by dotarło do mnie to, co zawsze mi powtarzał: „Nic się nie dzieje. Jestem przy tobie. Spokojnie”. Ale nie spojrzął na mnie. Wiedziałam, że nie potrafi. On też wolał horyzont szarawych tęczęwek swojego kolegi, może dlatego, że inaczej jego pewność pękłaby tak, jak pękła własnie moja.*

– *Trudno jest mówić o czasie, Jonas.*

*Chociaż doktor Marín był przyzwyczajony do przekazywania złych wieści, teraz starał się ukryć w gąszczu analiz i badań. Miał przed sobą jednego ze swoich, ordynatora kardiologii we własnym szpitalu, lekarza, który zoperował jego trzynastoletniego syna, ratując mu życie. Doktor Marín we łzach obiecał, że będzie mu wdzięczny całą wieczność. Nie wiedział, że któregoś dnia sam powiadomi go o zbliżającym się końcu tej wieczności, o tym, że drobnokomórkowy rak płuc widoczny na tomografii jako bezkształtna plamka zabarwiona na żółto i rozprzestrzeniony w innych organach jest teraz w czwartym stadium, czyli takim, w którym względny wskaźnik przeżycia pięciu lat wynosi mniej więcej dwa procent.*

– *Są możliwości leczenia. Powtarzam ci, że trudno jest mówić o czasie.*

– *Przestań się wygłupiać. Trudno jest go mieć, a nie o nim mówić. Powiedz mi, ile czasu?*

*Oddałabym życie, żeby w tamtej chwili zniknąć, żeby wszystko się wtedy skończyło, żebyśmy splanęli, wyparowali, obrócili się w proch, nieważne jak, byle we dwoje, razem, bez dalszych wyjaśnień. Ale nic takiego się nie wydarzyło. Życie zmusiło nas, byśmy wstali z krzesel, pożegnali się z doktorem Marínem i jego pielęgniarką, która całe lata pracowała z Jonaszem i której z trudem udało się przelknąć tkwiącą w gardle kamienną kulę. Nie miałam świadomości, że moje nogi się poruszają, że robią kroki, że pokonują krótkie dziesięć metrów dzielące gabinet onkologiczny od recepcji, gdzie czekała inna pielęgniarka,*

*blada jak świeżo pomalowana ściana, ze skierowaniami i potrzebną dokumentacją w małej niebiesko-czerwonej teczce z nazwą szpitala.*

*Nigdy nie wybaczę sobie słabości, jaką wtedy okazałam. Dlaczego zaczęłam płakać właśnie w tamtym momencie? Dlaczego nie mogłam zaczekać i schować się w łazience, żeby to wszystko z siebie wyrzucić i uniknąć przedstawienia, przez które on na pewno poczuł się gorzej? Byłam egoistką, robiłam to, co wygodne, a nie to, co właściwe, zarodziłam najukochańszą i najbardziej kochającą mnie osobę w najtrudniejszym momencie życia. „Spokojnie”. W jego ustach była to mantra, która zawsze działała – ale nie tym razem. „Nic się nie stanie”. Chociaż wtedy tego nie zauważyłam, pielęgniarka wbijała mi paznokcie w dłoń, próbując powstrzymać mój płacz. Zobaczyłam, że obejmuje mnie obca osoba, bo nie odważyłam się objąć jego, aż w końcu sam mnie pociągnął i posadził na krześle w prywatnej poczekalni.*

*– Powiem ci, co zrobimy: dzisiaj płacz, ile tylko chcesz. Jeśli wolisz, ja będę płakać z tobą. Na pewno nam obojgu dobrze to zrobi: wyrzucimy z siebie to wszystko, w środku nie zostawimy nic. Ale od jutra albo lepiej od dzisiejszego popołudnia koniec z tym. Nie chcę, żeby to nami zawładnęło, żeby było silniejsze od nas. Nie chcę, żeby nasze życie się wokół tego kręciło, nie chcę o tym codziennie rozmawiać. Tego sobie życzę. Rozumiesz?*

*Tak naprawdę nie rozumiałam, ale przysięgłam, że ostatni raz widzi mnie zapłakaną jak idiotkę, kiedy on nie uroził ani jednej łzy, chociaż miał do tego całkowite prawo.*

*Wiedziałam, że ta słabość będzie mi ciążyła na sumieniu do końca życia.*

Dźwięk klaksonu wyrwał mnie gwałtownie ze wspomnienia, w którym ugrzęzłam. Instynktownie spojrzałam na światła – i wtedy akurat mrugnęłam, żeby obudzić się z letargu po tej podróży w czasie – a potem w lusterku wstecznym zobaczyłam odbicie niecierpliwego kierowcy, który gwałtownie wymachiwał rękami, jakby nad nimi nie panował. Nareszcie: zielone. Nigdy wcześniej tak się nie cieszyłam ze zmiany koloru światła. Podtrzymywanie wspomnień przy życiu było jak docho-  
dzenie do siebie po operacji serca. I zabijało mnie to.



## 2

---

Zaczęłam żałować, że wyruszyłam w tę podróż. Za wcześnie. Za dużo wysiłku. Zbyt wiele minionych dni zaczęło rozpychać się w mojej terażniejszości. Zbyt wielu ludzi, z którymi nie chciałam się widzieć, a bardzo niewiele, których chciałam otoczyć ramionami i w których ramionach chciałam się znaleźć. Jonas mawiał, że lepiej nie wracać tam, gdzie człowiek był szczęśliwy. Skoro pozostawił mi taki drogowskaz, nie wiedziałam, czemu wracam do Tármino, ale przecież nie wiedziałam też, dlaczego zostałam bez niego, a jednak tak było.

Musiałam się zgodzić, by towarzyszyła mi Carla. Była najlepszą kobietą pod słońcem, a zarazem najbardziej nieznosną, jeśli przepada się za ciszą albo po prostu potrzebuje się przerw na oddech w trakcie rozmowy. Dla niej transportowanie powietrza do płuc było stratą czasu, o ile potrafiła pogodzić bezdech z funkcjami życiowymi. Mówiła, nie dając rozmówcy szansy na odpowiedź, bo sama sobie odpowiadała w swoim słowotoku. Nigdy nie udało mi się zrozumieć, jak osoba taka jak ona, nieprzystająca mówić, ma czas czytać klasyków – jak sądzę, w ciszy – i jak zdołała zostać wspaniałą nauczycielką literatury dziecięcej. Uwielbiali ją uczniowie i inne

dzieci; pewnie taka postrzelona gaduła była dla nich urzekająca. Co prawda wady serca groziły najmłodszemu pokoleniu w większym stopniu niż ich rodzicom, ale nie było wątpliwości, że dzieci są szczęśliwsze i o wiele bardziej komunikatywne. W tamtej chwili potrzebowałam jej słowotoku, by zagłuszyła moje uparte wspomnienia, ale poprzedniego wieczoru nie pozwoliłam jej dotrzymać mi dziś towarzystwa. „Wcześniej wyjadę z Madrytu. Ty się nie spiesz, wiem, że nie znosisz zrywać się bladym świtem. Poza tym dobrze mi zrobi samotna podróż” – powiedziałam jej. I zaczynałam tego żałować. Ostatnio moje życie zmieniło się w prawdziwe muzeum żalów, i to bezużytecznych – bo prawie wszystkie takie są.

Zaczęłam żałować swojej decyzji, by stawić wszystkiemu czoła samotnie, nie wiem, czy po to, by udowodnić sobie, że jestem wystarczająco silna, by żyć dalej, czy po to, by nie czuć się zobowiązaną do wysłuchiwania życiowych wskazówek, które najwyraźniej dla wszystkich z wyjątkiem mnie były oczywiste.

Gdy po raz pierwszy weszłam do naszego mieszkania po śmierci Jonasa, byłam sama. I naprawdę wolałam tak to zrobić, bo nie wiedziałam, jak poradzę sobie z tą wykoślawioną wersją syndromu pustego gniazda. Ucieszyłam się z tej samotności z wyboru, bo źle zareagowałam. Czasem człowiek wyczuwa, jaka decyzja jest właściwa, choć jeszcze nie wie dlaczego. Spodziewałam się tego już w chwili, gdy klucz przez parę sekund stawił opór w zamku, jakby chciał mnie ostrzec, że nie będzie łatwo, doradzał, bym odwróciła się i odeszła, bo to

już nigdy nie będzie moje ulubione miejsce na świecie. Co za głupota. Moim ulubionym miejscem na świecie był Jonas, a on już nie istniał. Nie było już ulubionych miejsc. Zirykował mnie ten opór zamka, nie dlatego, że chciałam się zmierzyć z opuszczoną krainą, która czekała na mnie po drugiej stronie drzwi – obawiałam się po prostu, że zaraz pojawi się jakiś sąsiad gotów okazać najszczerze wyrazy współczucia. Albo, co gorsza, po schodach wejdzie facet z prywatnej firmy ubezpieczeniowej i znów zacznie gadać o tym, dlaczego klucze o przekroju okrągłym są lepsze od tych płaskich albo na odwrót oraz o zamkach antywłamaniowych. Gdy za sąsiednimi drzwiami dosłyszałam jakiś ruch świadczący o czyjejś obecności, zaczęłam się na poważnie szykować do kopnięcia w drzwi i rozwalenia cholernego zamka na milion kawałków. W końcu ustąpił. Znalazłam się w środku. Gdy uspokajałam oddech i starałam się zapanować nad tempem uderzeń serca, poczułam jego zapach. Chciałam pozwolić sobie opaść na podłogę, by złagodzić ten powitalny cios, ale zadowoliliłam się zamknięciem oczu, głupio wierząc, że to mi pomoże zatrzymać go blisko. Skoro czułam jego zapach, to znaczy, że jeszcze coś mi z niego pozostało. Żałowałam, że światło jest takie jasne. Gdyby rolety były opuszczone, a przez okna nie dało się dostrzec biało-rudego zarysu miasta, wszystko byłoby prostsze. Fakt, że nie mieliśmy korytarza, okazał się teraz zaletą. Na szczęście Jonas postanowił zmienić mieszkanie w otwartą przestrzeń, bez kątów, zakamarków, drzwi, ograniczeń, ścian, usuwając

kolumnę pośrodku salonu, choć architekt miał obawy, że to filar nośny budynku. Nie zostało nic. Wszystko było otwarte. I puste. Rozpaczliwie puste. Nawet nie wiedziałam, w którą stronę iść, gdzie się skierować, gdzie opaść na ziemię. Nie wiedziałam, gdzie w tym mieszkaniu jest moje miejsce. Zdecydowałam się przejść parę metrów do przodu i pchnąć drzwi na taras. Czułam, że powietrze dobrze mi zrobi, a widok na świat z góry być może pozwoli mi zyskać nowy punkt widzenia. Moich przyjaciół przerażało to wrażenie, że stoi się nad przepaścią; nie odważyli się jednak powiedzieć mi tego w tych pierwszych dniach – pewnie ze strachu, że coś mi strzeli do głowy. Wyznali mi to znacznie później, rzucając ze śmiechem nerwowe spojrzenia.

Później przyszły dni składania koszul, spodni, koszulek i garniturów, wkładania ich do kartonowych pudeł, które miałam zawieźć do jakiejś organizacji charytatywnej. „Pomożemy ci, nie musisz robić tego sama” – powtarzali przyjaciele. „Nie, już to zrobiłam, nie przejmujcie się” – kłamałam. Uważałam, że mam prawo i obowiązek być ostatnią osobą, która dotknie jego ubrań, zanim znikną z mojego życia; ostatnią, która będzie mogła je wachać, zakładać, nosić przez cały dzień i decydować, co z tego wszystkiego ze mną zostanie. Na pamiątkę wybrałam sobie dwa swetry i białą koszulę. Na sam koniec wyciągnęłam jeszcze z pudła ostatnią piżamę, którą podarowałam Jonasowi. Spałam w niej każdej nocy. Brzmiało to jak szaleństwo, ale pomagało. Skoro Carla była w stanie udźwignąć reputację wariatki, to ja też.

Kolejne dni to anulowanie jego kart kredytowych, zamykanie jego kont bankowych za radą adwokata, który nalegał, by przestrzegać okrutnych terminów administracyjnych, rozwiązywanie umów ubezpieczeniowych, anulowanie prenumerat, zmiana danych do rachunków. Potem dzwonienie do banków, biur podróży, kanałów telewizyjnych z prośbą o zmianę nazwiska, na które przysyłają reklamy i inne informacje, żebym, znajdując je w skrzynce na listy, nie musiała znów sobie przypominać – jakbym mogła zapomnieć choć na sekundę – że w moim życiu nieodwracalnie kogoś zabrakło. Najwięcej kosztowało mnie rozwiązanie jego umowy z siecią komórkową. Musiałam to zrobić – tylko po to, by przestać otrzymywać wiadomości i telefony. Nie rozumiałam, dlaczego ludzie dalej piszą do niego na prywatny numer. Niektórzy nawet ciągle dzwonili, chociaż nigdy nie odbierałam. Wydawało mi się to makabryczne, absurdałne, fizycznie rozdzierające. To prawda, niektórzy z jego przyjaciół i znajomych nie mieli mojego numeru i uznali, że to będzie najskuteczniejszy sposób przekazania mi kondolencji. Nie krytykowałam tego ani nie osądzałam, ale bolało mnie to. Potrzeba wyrażania bólu jest bardziej przemożna niż chęć dzielenia się radością. Zrozumiałam to w ciągu tamtych tygodni. Najgorsze jest to, że za każdym razem, gdy przychodziła wiadomość, a ja czułam moralny obowiązek, by ją przeczytać, znajdowałam SMS-y sprzed trzeciego maja, najczęściej te, które sama z nim wymieniałam. Raniło mnie czytanie ich, ale nie umiałam się powstrzymać. To było

jak narkotyk, do którego musisz wracać raz za razem, chociaż doskonale wiesz, że może cię zabić. Ten ból przypominał mi, że żyję. Bolało mnie też, że jego już przy mnie nie ma, a to przecież musiałam znosić.

Stało się to moim masochistycznym zwyczajem, nauczyłam się nawet na pamięć naszych SMS-owych rozmów, dawniej banalnych, a dziś przemienionych w święte teksty. Najgorzej było, kiedy trafiałam na „Kocham cię”, „Kocham na zawsze”, „Gdzie jesteś?” albo „Tęsknię”. Następne w kolejności były: „Nie jedź beze mnie. Zaczekaj” albo „Co ja bym bez ciebie zrobiła?”, „Jak tylko przyjedziesz, wychodzimy” albo „Odbiorę cię, bo nie chcę, żebyś mi zginął”. Każde słowo, każde zdanie zdawało się zawierać ukryty sens, który miał zostać odczytany po czasie, jak w filmie detektywistycznym. Moją ulubioną wiadomością była ta, którą wysłał mi nad ranem podczas jednej ze swoich podróży do Stanów, gdzie prowadził cykl konferencji i sympozjów kardiologicznych: „Kocham cię bardziej od wszystkich ludzi, których w życiu kochałem, razem wziętych”. Pamiętałam uśmiech, jaki wywołało u mnie przeczytanie tej wiadomości – nie tylko przez treść, ale i formę, bo Jonas nie należał do ludzi, którzy często piszą takie rzeczy. Uważał, że to cikliwie. Jednak w głębi duszy to uwielbiał, przynajmniej wtedy, gdy ja mówiłam takie rzeczy, nawet jeśli się śmiał. „Co ty wygadujesz?”

Zdjęcia działały na mnie trochę inaczej, chyba łagodniej, dyskretniej, może ze względu na moje skrzywienie

zawodowe. Zdjęcia Jonasa uśmiechniętego, pokazującego język, robiącego zeza, prezentującego się w nowym garniturze, jakby brał udział w Tygodniu Mody w Paryżu, a nawet filmiki, których kręceniem go zamęczałam, gdy przygotowywał swojego słynnego pieczonego leszcza, rozemocjonowany jak dziecko otwierał nowy tablet niczym gwiazdkowy prezent, czytał vademecum („Ale kim my, do cholery, jesteśmy?” – pytał swoich kolegów. „Jesteśmy lekarzami, powinniśmy znać odpowiedź bez sprawdzania!”) albo kiedy wznosił zwariowany toast w restauracji Le Cirque w hotelu Bellagio, naszej ulubionej w Las Vegas, z wytrawnym martini w jednej dłoni i udawanym akcentem mieszkańca Nevady. Tak, obrazy były znośniejsze, przynajmniej na początku.

Wywoływanie bólu jego wiadomościami głosowymi w mojej skrzynce doprowadziłam do perfekcji. Przerazała mnie myśl, że mogłabym zapomnieć jego głos. Mówią, że w pierwszej kolejności zapomina się czyjś głos, jego barwę, brzmienie, intonację, i to stało się moją prawdziwą obsesją, źródłem lęków. Nie chciałam na to pozwolić. Niemożliwe, by coś takiego mogło przydarzyć się mnie. Nie jego głos.

Nie byłam w stanie skasować jego numeru z kontaktów w telefonie. Ciągle tego nie zrobiłam. To byłoby jak zdrada, jak wstęp do zapomnienia, niewybaczalna ucieczka. Nie ma cię już, kasuję cię, znikasz. Znikasz.

Kiedy rozległ się dźwięk telefonu, kierownica trochę podskoczyła mi w dłoniach, więc mocniej ją chwyciłam. Poczulałam większy nacisk na serdecznym palcu lewej

dłoni – otaczały go dwie złote obrączki. Całowałam je lub dotykałam, by się uspokoić, kiedy coś szło nie tak, kiedy nieoczekiwanie przychodziło wspomnienie albo po prostu tego potrzebowałam – a zdarzało się to zbyt często. Powinnam była wsunąć swoją dopiero po włożeniu tej należącej do niego – była większa, ryzykowałam, że ześlizgnie mi się z palca i ją zgubię. Zwykle nosiłam ją w ten sposób, kiedy wzywano Jonasa do nagłego przypadku i prosił, bym jej przypilnowała, bo w pośpiechu mógłby ją zgubić. Wiedział, że byłoby mi wtedy przykro.

„Nie wiem, czy to mi się podoba” – żartował, kiedy widział, jak wkładam obie obrączki, także nie chcąc ich zgubić, a sam biegł do szpitala. „Wyglądasz jak wdowa!” Dla niego ten kawałek metalu nie miał znaczenia. Parę razy nawet zgubił swoją obrączkę – a ja uparcie przypominałam mu, że „wypisane jest na niej moje imię”. Raz na Wybrzeżu Amalfitańskim, w malutkiej zatoczce, gdzie nie sposób było ją znaleźć (choć bardzo się wysilałam), a drugi raz na lotnisku, gdy pomagał jakiemuś pasażerowi z zawałem i między resuscytacją a defibrylacją, która okazała się zaskakująco kłopotliwa, obrączka się zgubiła. „Ale uratowaliśmy nieznanego” – zaznaczał na swoją obronę, oczekując łagodniejszego wyroku. Dla mnie miała ona znaczenie. Ogromne. Jakby od niej zależało moje życie. Wiem, że to głupie, ale była dla mnie ważna. I wtedy, i teraz. Może dlatego właśnie tym zajęłam się jako jedną z ostatnich rzeczy, kiedy personel medyczny wszedł do sali, by oficjalnie stwierdzić



jego zgon, po czym pozostawiono mnie z nim przez parę chwil sam na sam. „Nie spiesz się” – powiedzieli mi. Przełożyłam ją z jego palca na swój i już tam została. I chyba zostanie tam na zawsze. Kolejna głupota. Ale przynosiło mi to ulgę, tak jak uspokajał mnie płacz.

Telefon wciąż uparcie dzwonił. Potrzebowałam jeszcze kilku sekund, żeby się upewnić, że to już nie on, że jego zdjęcie nie pokaże się na ekranie, podpisane jedynie literą J, i że po drugiej stronie nie rozbrzmi jego głos: „Słuchaj!”. Zawsze uśmiechałam się, słysząc, jak wymawia to słowo z nieco śpiewną intonacją. Zobaczyłam długi numer telefonu, którego nie rozpoznałam. To nie miało znaczenia, bo i tak nie zamierzałam odebrać – od zawsze ignorowałam połączenia od numerów zastrzeżonych czy telemarketerów. Wysiłłam trochę pamięć i już wiedziałam. To na pewno Denisse, właścicielka galerii. Zostawiła mi już dwie wiadomości: jedną, by wyrazić kondolencje po mojej stracie – co za absurdalne wyrażenie, jakby chodziło o zaginioną złotą obrączkę – a drugą, żeby przypomnieć mi, że jeśli to mi odpowiada, mogłybyśmy ustalić datę najbliższej wystawy moich fotografii. Ostatnia wypadła bardzo dobrze, sprzedały się wszystkie portrety, a dobre wyniki sprzedaży znalazły potwierdzenie w opiniach krytyków.

Ludziom podobały się moje zdjęcia, chyba sprawiało im przyjemność patrzeć na cudze twarze – czasem piękne, czasem nie, ale zawsze patrzące na nich spojrzeniem pełnym głębi, tajemniczości, szaleństwa lub spokoju. Byłam przekonana, że wielu spośród kupujących

spędziło więcej czasu przed niedawno zakupionym zdjęciem obcej osoby zdobiącym ścianę ich domu niż przed własnym odbiciem w lustrze. Niektórzy pomyślą, że to miłość do sztuki, inni – że sposób na ucieczkę przed sobą. Ale to nie miało dla mnie znaczenia; im więcej zdjęć kupowali, tym lepiej. A kupowali ich wiele. Nic dziwnego, że galeria chciała powtórzyć sukces i zorganizować nową wystawę. Ten sam numer zamrugał jeszcze parę razy na moim ekranie, sygnalizując połączenie. Tak, to na pewno będzie Denisse. Powinnam była do niej zadzwonić. Zapomniałam. Zdarza się. Tak samo powinny były zadziałać chemioterapia i sesje naświetlania, a nie zadziałały. Niczemu nie służy żalenie się, skoro nie ma już czasu, by coś naprawić albo złagodzić.

Nabrałam powietrza i postanowiłam odebrać.

– Jak się masz, piękna? – Jej śpiewny argentyński akcent mnie pokrzepił. – Nie wiedziałam, czy dzwonić, czy nie. Nie chciałam ci przeszkadzać, ale nie chcę też, żebyś sądziła, że o tobie nie myślę. Nie wiem, czy to dobry moment... – zaczęła, obawiając się swoich słów, nie wiedząc, czy któreś z nich mnie nie urazi. W jej tonie słychać było ten lęk przed robieniem kłopotu typowy dla dzwoniących do kogoś pogrążonego w żałobie.

– Nie przejmuj się, ty mi nigdy nie przeszkadzasz – odpowiedziałam, starając się przeciwdziałać zakłopotaniu w jej głosie. – Jestem w samochodzie. Na autostradzie. Mówię na wypadek, gdyby nas rozłączyło.

– Dokąd jedziesz?

– Kierunek: Tármino.

Sama zauważyłam, że ta informacja o celu mojej podróży zabrzmiała jak napis na tabliczce. Zapadła cisza. Nie musiałam mówić Denisse nic więcej o tym, dokąd jadę. Wiedziała, że to miasteczko, z którego pochodził Jonas.

– Mogłam pojechać z tobą.

– Jadę tylko na jeden dzień, najwyżej dwa. Jeśli chcesz, zadzwonię do ciebie po powrocie.

– Tak, proszę, zadzwoń. Chcę z tobą porozmawiać, zobaczymy, czy masz dość prac na kolejną wystawę.

Miałam aż nadmiar zdjęć, przechowywałam w pamięci aparatu twarze zupełnie nagie, z makijażem, białe, czarne, piękne, złośliwe, dobre, nalane, wychudzone, dziecięce, starcze, egzotyczne, naturalne... Katalog ludzkich twarzy, z których każda opowiadała i pokazywała historię, nie otwierając nawet ust, nie wypowiadając jednego słowa, całkowicie bezdźwięcznie przemieniała się w prawdę absolutną. Takie milczenie było najlepsze – zdradzało największą prawdę bez pokusy kłamstwa, jaką niesie słowo. Ale nie miałam ochoty się tym zajmować. Tak naprawdę najchętniej zrobiłabym wystawę złożoną ze zdjęć jego twarzy, ale nie pozwoliłabym nikomu wejść ani niczego kupić. Zmieniałam się w emocjonalną egoistkę. To chyba nie za dobrze.

– Na pewno dobrze ci zrobi, jeśli zajmiesz czymś myśli. Wiem, że pewnie masz już dość wysłuchiwania takich rad, ale sama wiesz, że to prawda. No dobrze, już ci nie przeszkadzam, skoro prowadzisz. Dobrze robisz,

że wracasz do Tármino. Rodzina jest od tego, by w takich chwilach pomagać.

Uśmiechnęłam się, słysząc słowa Denisse. Rodzina, czy ja wiem? Nie moja, nie Jonasa. Zwłaszcza ten jeden niechciany człowiek. Kiedy zakończyłam rozmowę z Denisse, w mojej głowie znów pojawił się głos Jonasa: „Spokojnie”. I posłuchałam go.

Nie wiem, jaką szparą dostały się do mojego umysłu inne elementy terażniejszości dające dostęp wspomnieniu, które, choć nie na miejscu, chciało mi towarzyszyć całą drogę. Nie chodzi o to, że przeszkadzały mi obrazy z przeszłości, przeciwnie, one podtrzymywały mnie przy życiu. Tak naprawdę zaczynały się dobrze, ale pod koniec zawsze miałam oczy pełne łez, serce waliło mi w piersi, a w płucach brakowało powietrza. Trudno było z tym normalnie żyć.

Zapominanie jest bardzo podobne do wspomnienia – jedno i drugie jest jak słój pełen czereśni: gdy sięgnie się po jedną, ona pociąga za sobą kolejne splecione ogonkami, jakby wszystkie jednoczyły się wobec przeciwności. Nowa wiadomość wysyłana z terażniejszości do mojego mózgu była taka, że zapomniałam o czerwonych pastylkach, które miały zapobiec tachykardii – a przynajmniej ją złagodzić – oraz inhalatora przywracającego harmonię między moim sercem i płucami. „Lepszy będzie inhalator MDI” – przypominał zawsze Jonas lekarzowi odpowiedzialnemu za przygotowanie mi dawki leku, mając na myśli inhalator ciśnieniowy dozujący. „Żadnych dozowników suchego

proszku, znam swoją żonę i wiem, że utknie jej to w gardle. A po co nam to?”

W każdym innym momencie swojego życia wpadłabym w panikę wobec takiego przeoczenia, szukałabym zawrotki na autostradzie, nie myśląc nawet przez chwilę, czy to się opłaca, ani nie biorąc pod uwagę przejechanych kilometrów. Na pewno wróciłabym do mieszkania, żeby zabrać małą walizeczkę, dzięki której jakimś cudem udawało mi się nie stracić pulsu i oddechu. Ale tym razem nie doszło do inscenizacji greckiej tragedii. To wcale nie była aż taka poważna sprawa. Już nic takie nie było. Poza tym to nie była jedyna luka w mojej pamięci zajętej innymi sprawami. Zapomniałam też zgasić światła w sypialni, wyłączyć klimatyzację i zamknąć na klucz drzwi wejściowe tak, jak mi to zalecił dozorca w budynku, zmartwiony falą włamań i napadów w okolicy. „Proszę przekręcić klucz cztery razy, nie obawiać się, panienko”. Panienko? Naprawdę? „On nie gryzie”. Tak mówił poczciwy Eloy w swoim szarym kombinezonie, który wkładał, żeby nie zniszczyć sobie garnituru, zawsze, gdy musiał się zająć czymkolwiek związanym z konserwacją mieszkań w bloku.

Moja terażniejszość była pobojobwiskiem; to, co zapomniane, zderzało się z burzą wspomnień, które już nawet nie zachowywały pierwotnego kształtu i pojawiały się w losowej kolejności. Moja głowa żyła w stanie ciągłej anarchii, a ja nie okazywałam żadnego sprzeciwu, który mógłby prowadzić do przerwania tej sytuacji. Zapomniałam też o corocznej kontrolnej wizycie

u ginekologa; miała się odbyć dzisiaj, tak naprawdę zamiast siedzieć w tym samochodzie w drodze do Tármino ze skremowanymi szczątkami mojego męża powinnam przechodzić właśnie badanie USG. To też nie miało dla mnie znaczenia. Jedynym, co było godne uwagi w tej umysłowej niemocy po utracie Jonasa, był fakt, że zapominanie nie robiło na mnie wrażenia, dlatego nie dopadał mnie niepokój, przez który komory serca zaczęłyby szybciej pompować krew, a więc mięsień sercowy nie powodował problemów z nasierdziem. Mojemu nasierdziu nie było łatwo, miało za dużo pracy jak na tkankę, która ma jak najlepiej chronić serce, chociaż wszystko jej w tym przeszkadza. Nie wiedziałam, jak to się stało, że wszystko straciło znaczenie, choć dobrze wiedziałam dlaczego. Kiedy zdarza ci się najgorsza możliwa rzecz w życiu, nic z tego, co następuje po niej, nie jest w stanie cię dotknąć. Nic. Stajesz się wyposażonym w zmysły automatem, a negatywne doświadczenia nie mają na ciebie wpływu.

Chwila w stanie zen przysła, kiedy zaczął wibrować telefon. Po tym, jak skończyłam rozmawiać z Denise, wyciszyłam go, żeby uniknąć kolejnego podskoku za kierownicą, ale chyba wibracje okazały się jeszcze gorsze. Brzmiało to tak, jakby zakneblowany człowiek próbował coś powiedzieć. Tym razem wzięłam telefon do ręki i spojrzałam na niego z ukosa. Wyświetlacz rozmywał mi się przed oczami. Albo traciłam wzrok, albo zaczęłam płakać, nie zdając sobie z tego sprawy. Czasem mi się to zdarzało. Płacz był dla mnie częścią codzienności

do tego stopnia, że stał się odruchowy, jak oddychanie czy mruganie. Często nie byłam go świadoma, dopóki nie poczułam czegoś wilgotnego spływającego po policzku albo słonego smaku na ustach. Carla to rozumiała. „To zjawisko fizjologiczne, jak nietrzymanie moczu u pań w pewnym wieku. Chociaż ty nie jesteś w takim wieku, żeby ci się to zdarzało... jeszcze. Ale skoro w ogóle się nie starasz...” Tak naprawdę podobało mi się to, że była taka pyskata, równoważyła tym nadmierną delikatność wszystkich pozostałych. To ona do mnie pisała.

W mojej głowie pojawił się obraz Carli z tą kruczoczarną czupryną zebraną starannie drewnianą szpilką, która według niej była zrobiona z prawdziwego baobabu. „Te święte afrykańskie drzewa są magiczne, największe na całym świecie, ale znikają, jest ich coraz mniej, wy-cinka, zmiana klimatu, pogorszenie ekosystemu, życie; to katastrofa, wielka szkoda, trochę tak jak z tobą. Nie będziesz miała żadnej korzyści z tego, kim byłaś, ani z tego, że miałaś wszystko, i one tak samo nie, jeżeli pozwolicie się zwyciężyć”. Na ekranie komórki pojawił się za długi SMS. „Przyjadę wcześniej, bo wyjeżdżam wcześniej. Nie mogłam na ciebie poczekać. Wiem, że mi powiedziałaś, żebym przyjechała dopiero dziś po południu, ale ty też mnie nie słuchasz, kiedy ci mówię, żebyś wzięła się w garść. Tak czy owak, do zobaczenia wkrótce. Zadzwoń, kiedy dojadę. Nie powinnaś czytać tego SMS-a, jeśli prowadzisz. A potem to ja wychodzę na wariatkę. Kocham cię”. W SMS-ie też nie potrafiła się streścić. Nawet to charakterystyczne „tak czy owak”,

które brzmiało jak początek jakiegoś podsumowania, nie pomagało skrócić wypowiedzi. Tak naprawdę byłam jej za to wdzięczna. Miałam powód. Nie powinnam czytać tej wiadomości, ale nie powinnam też prowadzić bez zapiętego pasa. Nie chodziło o niedbałość czy brak szacunku do życia i igranie ze śmiercią. To była po prostu kolejna rzecz, o której zapomniałam, bo nie miała dla mnie znaczenia.

Zamiast złościć się tą zmianą planów, ucieszyłam się, że Carla przyjedzie wcześniej. Dobrze będzie mieć kilku sprzymierzeńców na wrogim terytorium na wypadek, gdyby poszło źle.

Rzuciłam telefon na siedzenie pasażera, a gdy usłyszałam, jak uderza o tapicerkę, oderwałam wzrok od drogi i wpatrzyłam się w miejsce, które sama zajmowałam, kiedy jeździłam z Jonasem. Zobaczyłam go tam: mój aparat fotograficzny, wierny towarzysz przemieniony w martwy przedmiot, tak jak ja. Od śmierci Jonasa towarzyszył mi jakby z rozpędu, z przyzwyczajenia, nie myślałam nawet o tym, na jakie lekceważenie i porzucenie go skazuję. Był tu, żeby być. Tak samo jak ja. Nie czuję siebie, chociaż jestem – myślałam i chyba powiedziałam to kiedyś na głos, kiedy ludzie nie przestawali co chwilę powtarzać nowej mantry w moim życiu: „Jak się czujesz?”. Nie czuję siebie, chociaż jestem. Co za absurdalne zdanie, a jednak jako jedyne bez ozdobników opisywało to, jak się czułam. Mój stan był jak przecinek, cios oddzielający dwa istnienia tej samej osoby. Zdawało się, że życie jest napisane w zupełnie innym języku niż ten,



który znałam, jakby któregoś dnia nagle zmienił się alfabet i gramatyka. Nawet we własnej skórze nie miałam ojczyzny. To było naprawdę dziwne, ale takie zdawało się moje życie od dwóch miesięcy, tygodnia i czterech dni. Im wcześniej to zaakceptuję, tym lepiej zrozumieć siebie i tym lepiej będę rozumiana. Musiałam powtarzać sobie raz za razem: „Zmarłam trzeciego maja. Zmarłam trzeciego maja”. Bardzo trudno było odmieniać ten czas gramatyczny, ale żyłam w momencie, w którym przeszłość i teraźniejszość przeskakiwały z wymiaru w wymiar, jakby grały w gorące krzesła.

To była prawda, zmarłam trzeciego maja. Było nawet gorzej, niż mogłoby się wydawać. Tamtego dnia przestałam oddychać, czuć, słyszeć, myśleć, śmiać się. Zmarłam tamtego dnia, chociaż już od jakiegoś czasu byłam martwa. Zaczęłam nienawidzić liczby 3. Nagle któregoś dnia zaczynasz nienawidzić nie tylko ludzi, którzy nadal żyją – w tym samej siebie – ale także najzwyklejszych nieożywionych rzeczy. Instynktowna, impulsywna nienawiść, która wydobywa się z najohydniejszych zakamarków człowieka, z najgłębszego ukrycia.

Tak, przydałoby mi się więcej czasu w samotności. Świat chyba też by się z tego ucieszył.



# 3

---

Przydałoby mi się więcej czasu w samotności, chociaż w tym momencie działałam na przekór temu wewnętrznemu przekonaniu. Jechałam właśnie tam, gdzie nie było miejsca na odosobnienie.

W moim nowym stanie samotność była pocieszeniem, nie sprawiała mi bólu. Wiedziałam przynajmniej, że moi przyjaciele nie będą cierpieć, patrząc na moją przemianę w kogoś, kogo nie rozpoznają: widać ją było po ciele, które teraz ważyło zaledwie czterdzieści dwa kilogramy – ucieszyłam się, gdy zrzuciłam ostatni, bo dzięki temu nie widziałam trójki na wyświetlaczu – po cieniach, które zadomowiły się na mojej twarzy, oraz po zupełnym braku tego, co było dla mnie tak typowe, kiedy byłam z nim i czułam życie całą sobą: śmiechu. Mogło się to wydawać nieznaczące, ale ten właśnie brak najwyraźniej dostrzegali ci, którzy mnie znali i kochali. Nie byłam tego nawet świadoma, nie wiedziałam, że było to coś tak szczególnego, nie przypisywałam śmiechowi należnego znaczenia, ale to chyba właśnie jedna z tych rzeczy, które się lekceważy, dopóki się ich nie straci.

Ta samotność, narzucona i z wyboru, miała i inne zalety: unikałam marnowania czasu, w którym mogłam

zacząć dochodzić do siebie – a oczekiwałam, że w którymś momencie zacznę – na udawanie, że wszystko u mnie dobrze, i toczenie z góry przegranej walki z sobą. Chyba to właśnie oznacza wycofanie się do bazy. A skoro nikt nie zapytał Napoleona, dlaczego wycofał się do bazy po bitwie pod Smoleńskiem, to nie wiem, czemu mieliby pytać o to mnie. Musiałam przeczekać, trwać w hibernacji, wytrzymać. To był podstawowy warunek wyjścia ze stanu egzystencjalnej hipotermii, w którym się znajdowałam, i przetrwania.

Moje życie zmieniło się w wieczne oczekiwanie. Czułam się jak zwłoki, które przechowuje się w stalowych szufladach w kostnicach: samotne, pozostawione, opuszczone, bez życia, oczekujące, aż ktoś przyjdzie je zidentyfikować – jakby to miało czemuś służyć – a potem będzie mógł iść dalej swoją drogą. Wiedziałam, że do mnie nie przyjdzie nikt, a przynajmniej nie ten, kogo bym sobie życzyła. To było niemożliwe. Niedawno odszedł na zawsze i nie wiedząc o tym, zabrał mnie z sobą, chociaż tu zostałam.

Zrobiło mi się zimno, nie przez myśl o kostnicy, ale dlatego, że klimatyzacja w samochodzie wskazywała jedenaście stopni. Mogło to tylko pogorszyć chrypkę, która pojawiła się nieoczekiwanie parę dni wcześniej. „To zwykła afonia, na pewno nie porażenie strun głosowych” – powiedział mi lekarz, którzy odwiedził mnie w domu, by złożyć mi kondolencje, a przy okazji mnie zbadać. A może było na odwrót. Niech będzie, pomyślałam, i tak mnie nie obchodzi, co mi jest. W tej

podszyciwajęcej się pod lekceważenie melancholii dobrze mi robiło szukanie pozytywów. Skoro straciłam głos, a dużo wcześniej – ochotę do rozmów, miałam idealną wymówkę, by nie odbierać telefonów i nie wysłuchiwać magicznych formułek, cudownych rad i tych samych zdań pokrzepienia i pocieszenia, z których każde kolejne było plagiatem poprzedniego, identycznych jak te wygłaszane przeze mnie setki razy. Nie miałam tego nikomu za złe, po prostu to zauważyłam – takimi obserwacjami człowiek zapewnia sobie rozrywkę, kiedy to inni starają się go rozerwać.

Przy drodze pojawiła się tablica informacyjna.

#### TÁRMINO 35

Znów poczułam coś jakby nienaturalny dreszcz. Byłam coraz bliżej. Miałam dojechać za niecałe pół godziny. Szczerze mówiąc, kostnica nie była taka zła, no, chyba że zaczęliby przychodzić członkowie rodziny, żeby zidentyfikować ciało. Nie potrafiłam oddzielić tej mrocznej myśli od wizji jego rodziny.

To był instynkt. Odwróciłam nieco głowę, szukając torby z białą urną, w której znajdowały się szczątki Jonasa, leżącej za przednim siedzeniem pasażera. Obiecałam sobie, że przez całą podróż nie spojrzę w tamtym kierunku, ale nie udało mi się dotrzymać słowa. Tak samo można się zarzekać, że nie będzie się płakać na pogrzebie ukochanej osoby, a ostatecznie zwycięża życie i człowiek zalewa się łzami. Źle zrobiłam, że tak długo nie rozstawałam

się z urną, że trzymałam ją w naszym mieszkaniu jako namiastkę jego obecności. Nie wiedziałam, jak się wobec niej zachować – były dni, kiedy jej unikałam, starałam się na nią nie patrzeć, omijać ją, myślałam nawet o tym, żeby ją schować – wypróbowałam kilka miejsc, żadne mi nie odpowiadało, niektóre wydawały się wręcz żenujące – a innym razem nie potrafiłam oderwać od niej wzroku, jakby zahipnotyzowało mnie to pudełko z białego granitu. Musiałam to załatwić, byłam mu to winna. Sprawiedliwie było postawić na pierwszym miejscu jego życzenia, a nie moje cierpienie. A jeśli nie czułam się na siłach, by wrócić do Tármino, jego drugiego ulubionego miejsca na świecie zaraz po mnie, był to mój problem. Jednak im bardziej zbliżałam się do celu, tym trudniej było mi wyrzucić z głowy myśl, że ta podróż była błędem, że na pewno jej pożałuję. Powinnam była jeszcze poczekać z powrotem, jego szczątki były jedyną rzeczą, która pchnęła mnie do tej wyprawy.

Etapy bólu są bardzo intymne, nie wie o nich nikt, dotykają tylko ciebie. Nie chodzi o te, o których mówią psychologowie, ani o te, których listę można znaleźć po wpisaniu w Google słowa „ból”, ani o te, o których opowiadają ci, którzy zdają się posiadać wszelką wiedzę na temat ludzkich zachowań, gdy mają przed sobą kogoś, kto właśnie doznał straty. Ponieważ strata nie jest czymś, co się ma, ale czymś, czego się doznaje, niesie z sobą tyle rzeczy, że nie sposób ją osiąść, można ją tylko przecierpieć. Takie teorie trudno jest pogodzić z praktyką, z realnym życiem, które każdy człowiek może przyjąć

i przetrwać wyłącznie na swój sposób. Moje ciało nie domagało się podróży, ale wnętrza domu, pustego, znajomego pokoju, w którym mogłabym się w milczeniu zamknąć, jak duński malarz Vilhelm Hammershøi, kiedy malował wewnątrz swojego mieszkania w dzielnicy Christianshavn. Podobnie jak on czułam potrzebę malowania tych pustych pokoiów raz za razem, kreślenia cieni otwartych drzwi, które prowadziły do niekończących się korytarzy, zamkniętych okien bez żadnego widoku, chociaż wpadał przez nie poblask jakiegoś melancholijnego światła. Pragnęłam znaleźć swoją postać odosobnioną, w samotnym pokoju, w moim porzuconym mieście. Szukałam tej intymności, tego spokoju, tego wygnania naznaczonego ciszą i wspomnieniami. „Gdyby tylko ludzie mogli otworzyć oczy i dostrzec, że wystarcza zaledwie kilka dobrych rzeczy, by pokój stał się o wiele piękniejszy i bardziej dystyngowany, niż kiedy jest pełen wielu rzeczy przeciętnych”. Ta refleksja duńskiego malarza pojawiała się na litografii *Białe drzwi*, którą Jonas podarował mi w dniu naszego ślubu, wchodząc niczym ucniak do pokoju, w którym zabijałam ostatnie minuty stanu panieńskiego – jednego z pomieszczeń w kamiennym domostwie przerobionym na hotel, gdzie postanowiliśmy się pobrać. „Będziemy wypełniać całą tę pustkę i wyważać wszystkie te drzwi razem. Do końca” – żartował, starając się wymknąć po kryjomu z pokoju, by nikt nie zauważył, że złamał świętą tradycję i widział się z panną młodą przed wypowiedzeniem sakramentalnego „tak”. Chcieliśmy nieużywanej pustej

przestrzeni dla nas obojga i zdobyliśmy ją. A ja chciałam w niej zostać, obejmować tę pustkę, żeby czuć się nieco bliżej niego.

Ktoś mi kiedyś powiedział, że puste wnętrza Hammershøia, w których tylko ja dostrzegałam światło, cechował przytłaczający nastrój, a jego dzieła były świadomą refleksją na temat smutku towarzyszącego stracie. To był poziom abstrakcji, którego wtedy potrzebowałam, a jednak podążałam ścieżką serca przez tę fabrykę wspomnień, zapachów, obrazów i chwil, jaką była La Alcarria.

Kolejna tablica informacyjna przy autostradzie.

TÁRMINO 5